

# ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ  
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 22 SIERPNIĄ 1915

NR. 4.

## *POLSKA PRZEDMURZEM ZACHODU.*

**D**wa wieki schyłkowe niezależnego bytu państwowego Polski wypełnione były walkami z Rosyą. Kiedy Europa zajęta była wojnami dynastycznymi i religijnymi, Rzeczpospolita polska toczyła u wschodnich granic zaciekle boje z potęgą moskiewską, wyrastającą na olbrzymich nizinach nadwożańskich.

Zrozumienie rosyjskiego niebezpieczeństwa wzrastało w Polsce z każdym dziesiątkiem lat i doprowadzało aż do takich pomysłów politycznych jak ten, aby na tronie moskiewskim osadzić dynastję królewską polską, któraby raz na zawsze położyła kres krwawym rozprawom wojennym między Rzeczypospolitą polską a potęgą moskiewską i wprowadziła formujących się dopiero w społeczność Rosyan na tory normalnego i konsekwentnego rozwoju we wszystkich dziedzinach kultury europejskiej.

Zarówno środkowa i zachodnia Europa nie miały najmniejszego czucia, jaka przyszła potęga kryje się w państwie moskiewskim, dziedzictwie Iwana Groźnego. Wojny polskie, od Batorego, z carstwem moskiewskim były dla naszych sąsiadów zachodnich plusami w ich bilansie polityki zagranicznej, ponieważ odwracały uwagę Polaków od spraw zachodniej Europy i nie pozwalały im mieszać się bezpośrednio do komplikacji i fermentów państwowych, wstrząsających nieustannie dziejami naszych sąsiadów bliżej lub dalej na zachodzie.

Z tych to przyczyn u schyłku wieku ośmnastego państwo polskie stanęło nad krawędzią upadku, gdy już pod parciem Rosyi utraciliśmy wielkie terytoria na wschodzie, a wewnątrznie przeżywaliliśmy jeden z najbardziej skomplikowanych procesów społeczno-politycznych. Wówczas to od niesłychanej wybujałości indywidualistycznej i stanowej, która przeciwstawiała władzy królewskiej wagę i znaczenie jednostki, naród polski zbliżał się do postulatu władzy silnej, która musiałaby ukształtować się jako demokratyczna forma rządów o podstawie znacznie rozszerzonej, bo uwzględniającej interesy mieszczaństwa a z czasem i chłopstwa. Dążeń tych liczne dowody znajdujemy w pismach politycznych z owej epoki niemniej jak w próbach ustawodawczych, czego najpiękniejszym objawem było uchwalenie Konstytucyi 3 maja.

Niestety nie było nam przeznaczonem ów okres fermentu i kształtowania się przeżyć w warunkach sprzyjających. Nastąpiły rozbiory Polski, które rosyjską potęgą bezpośrednio zbliżyły do państw zachodniej Europy i pozwoliły jej mieszać się odtąd do wszystkich ważniejszych wydarzeń historycznych w politycznem życiu europejskiem.

Cały wiek XIX był wypełniony gorączkową wojenną rywalizacją państw środkowej i zachodniej Europy, o znaczenie, wpływy i posiadanie terytoriów. Wojny napoleońskie ujawniły znaczenie i wielkość Rosyi i do legendarnego wprost znaczenia podniosły urok jej potęgi skutkiem nieszczęśliwej kampanii napoleońskiej w r. 1812. Jak hypnotyczna siła działała na państwa ościenne świadomość, iż największy geniusz wojenny, jakiego wydała Europa, który z niewidzianą nigdy poprzednio masą wojsk, liczących 600.000 żołnierzy, ruszył na Moskwę — padł w zapasach zmiażdżony i już nie podniósł się nigdy.

Zarówno Austria jak Prusy podczas rozbiorów Rzeczypospolitej polskiej związane politycznie z rosyjską po-



tencją, miały jeszcze bezpośredni własny interes polityczny w tem, aby utrzymywać dobre stosunki ze swym groźnym sąsiadem północnym. Za żadną cenę nie chciały ryzykować wojny, która — jak to wydawało się ówczesnym politykom, a nawet Bismarkowi — musiałyby się dla nich skończyć katastrofą.

Rzecz prosta, iż dyplomacya obu państw, Austrii i Niemiec pracowała niezmiernie nad utrzymaniem przyjacielskich stosunków z Rosją. Była to jednak praca Danaid, która wcześniej czy później musiała ukazać dno pustej beczki, choć do niej ciągle nalewano wodę... przyjacielską...

Najrychlej zarysowały się różnice między Austrią i Rosją, kiedy ta zaczęła coraz gwałtowniej sięgać do wnętrza Bałkanu i tworzyć z państw bałkańskich koalicję z jednej strony przeciw Turcyi, z drugiej przeciw Austrii. Ciągłe wicherzenia, intrygi, przekupstwa, zbrodnicze knowania polityczne, nie wzdrygały się przed niczem, nawet przed mordem przeciwników Rosyi; doprowadzały do takich ohydnych zamachów jak śmierć Stambułowa, Aleksandra i Dragi, a koroną tych okropności była śmierć następcy tronu austriackiego i jego małżonki.

Czynnikiem hamującym, nie dopuszczającym do wcześniejszego wybuchu wojny między Austrią i Rosją były Niemcy, które żyły tradycją polityki bismarkowskiej i wierzyły w dogmat, iż Rosję należy podbijać ekonomicznie, ale nigdy nie ważyć się na walną rozprawę z jej niewyczerpanym rezerwoarem ludzkim.

Ale fakta nie dały się zmienić. W tradycyi polityków rosyjskich tkwił pęd do dalszego rozszerzenia się we wszelkich kierunkach. Lawina, która niegdyś ruszyła z gór Uralu, nasiąknięta krwią kilkudziesięciu szczepów i całych państw, miała wewnątrz straszliwy rozmach, który parł na zachód z niepowstrzymaną siłą. To też nie Anglia z imperyalizmem swoim kolonialnym i nie Francya z ideą odwetu za r. 1870, lecz Rosya była osią, była duszą, była pierwotną przyczyną wojny europejskiej.

Państwo niemieckie dostrzegło grożące niebezpieczeństwo już przed szeregiem lat. Jeżeli nie zmieniono zupełnie polityki wobec Polaków w Niemczech, to dlatego, iż lędzono się możliwością oddalenia wybuchu wojny światowej lub jej zupełnego zażegnania. Czucie jednak miano już pewne. Robota podziemna polityki rosyjskiej wskazywała aż nadto dowodnie, iż marzeniem jej było zniszczyć państwa centralne i w dalszym skutku narzucić swój nacisk militarny całej Europie, nie wyjmując obecnych sojuszników Rosyi; bo gdyby teraz rozbiła państwa centralne, to za sto lat albo wcześniej, Francya, Włochy i Anglia znalazłyby się w takiej samej konieczności obrony swego bytu państwowego wobec zaborczości rosyjskiej, jak w sto lat po rozbiore Polski znalazła się Austriya i Niemcy.

z Rosyi bowiem płynęły azyatyckie metody, nihilizm życiowy, absolutyzm religijno-państwowy, ów najohydniejszy wytwór władzy, płynęła na Europę gangrena społeczna i narodowościowa. Ta polska idea polityczna zasłaniania Zachodu przed orientalnym zalewem — przetrwała upadek Rzeczypospolitej. Jako państwo przez trzy ostatnie stulecia nie walczyliśmy nigdy przeciwko Zachodowi, zawsze przeciwko muzułmańskiemu Wschodowi i Rosyi. Po utracie niezależnego bytu państwowego podnosiliśmy trzy powstania przeciwko Rosyi.

Ale ci sami sąsiedzi w walce o byt własny idą dziś drogami wskazanymi przez Polskę, idą zniszczyć Rosję





A. GROTTGER

POLONIA II: POBOR.

BIADA -- MÓWIŁ -- NIEWIASTOM, JEŚLI KOCHAJĄ SZALEŃCÓW,  
KTÓRYCH OKO WYBIEGAĆ LUBI ZA WIOSKI GRANICE,  
KTÓRYCH MYŚLI, JAK DYMY, CIĄGLE NAD DACH ULATUJĄ,  
KTÓRYCH SERCU NIE MOŻE SZCZĘŚCIE DOMOWE WYSTARCZYĆ...

A. MICKIEWICZ: KONRAD WALLENROD.



# WOJENNE DZIEJE WARSZAWY.

.. Jest u nas kolumna w Warszawie,  
Na której osiadają podróżne zórawie,  
Spotkawszy jej liściane czoło wśród obłoka;  
Taka zda się odludna i taka wysoka!  
Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrana,  
Stoi trójca świecących wież świętego Jana,  
Dalej ciemna ulica a z niej jakieś szare  
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare  
A dalej jeszcze, we mgłę, która tam się mroczy;  
Szkła okien, jak zielone Kilińskiego oczy,  
Czasami uderzone płomieniem latarni,  
Niby oczy upiora świecące z pod darni...

*J. Słowacki.*

Gdyby dzwony tej „trójcy świecących wież świętego Jana“ przemówiły ludzkim językiem, gdyby królewski zamek i stare miasto warszawskie opowiadać mogły o wszystkim, co przeżyły, gdyby kolumna Zygmuntowska „ta struna kamienna“ dobyła z siebie

..... „jakieś echo skalne,  
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne“

— jakążby wtedy homerycką pieśń o dawnych czasach i dawnych bojach, o tryumfalnych wieńcach i krwawych klęskach praocjów usłyszało dzisiejsze pokolenie! Nam, ich potomkom, tak niedawno z łękiem ściśnionego serca pytającym, jakie losy czekają Warszawę, odpowiedzieć mogła ona sama wymową swoich odwiecznych murów, które już widziały tyle ognia i krwi, tyle bitew, oblężeń i rzezi, słyszały huk tylu dział, jęk tylu rannych i konających, a potem przeżyły rzeczy stokroć jeszcze — i... stoją! Warszawa jest i zawsze będzie, czem była. Umierają ludzie, mijają pokolenia, trwają — narody.

## I.

Działo się w roku 1656. Po haniebnej kapitulacji Wielkopolan pod Ujściem, Karol Gustaw ciągnie pod Warszawę w 17,000 wojska; Jan Kazimierz opuszczony i zdradzony od własnych poddanych, uchodzi ze stolicy, która ma tylko dwustu żołnierza załogi i zbrojne mieszczaństwo na obronę murów. Król szwedzki i zdrajca Radziejowski z Oltarzewa posyłają trębaczy do Warszawy z żądaniem, aby się poddała. Olbrycht Giżycki, stolnik wieluński i burmistrz Aleksander Giża, stanęli przed obliczem Karola Gustawa między Wolą a karczmą we wsi Włochach. Król był na koniu, po prawicy miał Radziejowskiego. Zsiadłszy z koni, parlamentarze ucałowali, ówczesnym zwyczajem, rękę monarszą i w imieniu miasta przyjąć musieli warunki, podyktowane przez zwycięcę, który 8 września wjechał do Warszawy od strony Jazdowa. Gubernatorem zamianował starego kanclerza Oxenstierna, komendantem — Radziejowskiego. Kontrybucya, nałożona na miasto, wynosiła 240.000 złp., czyli przewyższała sześciokrotnie roczny dochód miejski. Dla braku gotówki placono to *lystrum sueticum* srebrami stołowymi i kościelnymi, kosztownościami, wszelakim towarem. Warszawa jęczała pod uciskiem najeźdźców. Ale przyleciały szczęsne wieści: obroniła się Częstochowa, w Tyszowcach stanęła Konfederacya przeciwko Szwedom, król wraca ze Śląska...

Jakoż w następnym roku 1657, 26 maja stanął pod Ujazdowem na czele wojsk polskich Stefan Czarniecki z Jerzym Lubomirskim. Jan Kazimierz, chcąc oszczędzić stolicę, usiłował nakłonić szwedzkiego generalissimusa Wittenberga do kapitulacyi. Daremnie. Więc 1-go lipca, po uroczystej procesyi Bożego Ciała, Polacy przy-

puścili szturm generalny. Zdobywać musieli, jeden po drugim, ufortyfikowane przez Szwedów pałace. Najciężej było na Krakowskiem Przedmieściu wykurzyć nieprzyjaciela z pałaców Kazanowskiego i Daniłowicza i z klasztoru Bernardynów, gdzie wrzała najsrozsza walka. Czarniecki natarł od Nowomiejskiej bramy, i przez wyłom w ścianie t. z. Gdańskiego Domu, wtargnął pierwszy do zdobytej Warszawy. Teraz bój zawrzał na placu zamkowym, u kolumny Zygmunta krew lała się strugą. 3 lipca Wittenberg poddał się i jako



*Jan Kazimierz*

*Sztuch niepodp. Muz. Czapskich.*

jeniec wojenny odjechał ze starszyzną szwedzką do Zamościa.

Nie długo trwał polski tryumf. Karol Gustaw, posilowany wojskami przeniewierczego lennika Rzeczypospolitej, Elektora brandenburskiego, stanął ponownie w Ujazdowie. Trzy dni 18, 19 i 20 lipca trwała bez przerwy zażarta walka pod Warszawą. Nieustraszona królowa Marya Ludwika z tarasu przy klasztorze Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu, przyglądała się walce, toczącej się na Pradze. Kazała nawet zatoczyć na ów taras działa i stamtąd prażyć Szwedów. Nagle, wojska litewskie, na lewem skrzydle od strony Wisły, wygięły się i pękły; pod cofającymi się załamał się most, prawe skrzydło pod wodzą hetmanów St. Potockiego i Lanckorońskiego były odcięte od miasta i musiały odstąpić na Okuniew i Karczów. Trzechdniowa batalia była przegrana, Jan Kazimierz uszedł do Lublina. Zwycięski Karol Gustaw kazał rozwalić fortyfikacje miejskie i panowanie swoje rozpostarł na gruzach i zgłiszczach. Najgorzej zniszczony był pałac Ka-



zimierowski i kościół Karmelitanek, wszystkie drewniane domostwa legły w perzynie. W stolicy szerzył się mór... brat wojny.

Zagrożony ruchem zbrojnym, szerzącym się po całym kraju przeciwko Szwedom, zdobywca opuścił Warszawę, a król polski, listem, datowanym z Częstochowy 21



marca 1657 „pragnąc dopomódz w usilnych staraniach magistratu i obywateli miasta naszego, Starej Warszawy, względem naprawy murów“ — udzielił przywilejów, które ułatwiły odbudowę fortyfikacji warszawskich. Zaczęto budowę 13 kwietnia, w dwa miesiące Warszawa była znowu miastem warownem.

W samą porę! Wnet bowiem nowy najezdnik, sprzymierzeniec Szwedów, Jerzy Rakoczy, X. siedmiogrodzki, podstępnie pod jej mury na czele wojsk węgierskich, wołoskich i kozackich i po dwudziestu dwóch dniach oblężenia, zmusił obrońców do kapitulacji d. 23 czerwca. Komendant Eliasz Łącki nie mógł bowiem liczyć na żadną odsiecz, a co gorsza, zobaczył nadciągające jeszcze oddziały szwedzkie pod generałem Steinbockiem. Wymógł więc przynajmniej korzystne warunki: załoga wyszła z „rozciągniętymi szlandarami, z zapalonymi lontami, przy odgłosie bębnow...“, a co ważniejsza, Rakoczy zobowiązał się, że „łaską swoją zabezpieczy, żeby Miasto Warszawa nie była przez nikogo łupiona ani uciemiężana przez żołnierzy załogowych“. Ta „łaska“ jednak nie „zabezpieczyła“, że — jak opowiada Puffendorf — „miasto było wkrótce przez kozactwo zupełnie zrabowane, a nieco przedtem niektórzy z żołdactwa szwedzkiego popelniali różne nadużycia...“ Łupiestwo i grabież, gwałty i mordy na mieszkańcach, odchodziły w najlepsze, luny pożarów stały nad nieszczęsną stolicą. I znowu przyszła zaraza morowa, na ulicach leżały nieoprzebane trupy.

Wobec nadchodzących wojsk polskich, nieprzyjacieli wycofał się w końcu z Warszawy, która była jednym

pułtkowiem: zamek — splondrowana rudera, kościoły i pałace zrabowane w ruinie, z drewnianych przedmieść pozostały zgłiszcza. „Rewizya“ miasta, przeprowadzona w r. 1659 wykazuje, że z mieszkańców pozostała zaledwie część dziesiąta...

## II.

Na okazale odbudowaną stolicę spadły nowe kłeski w niespełna pół wieku. 15 maja 1702, król August II. uchodzić musiał przed nadciągającym królem szwedzkim, Karolem XII. Na wyjeździe nakazał utworzenie straży miejskiej pod dowództwem „sierżanta gminnego“ i straży obywatelskiej. W tydzień później Karol XII zajął Pragę, a 25 maja nocował już w zamku. „Księgi uchwał publicznych“ szczegółowo podają ciężary, jakie zwały się na miasto, które miało dostarczać żywności dla czterdziesto-tysięcznej armii szwedzkiej. Dość powiedzieć, że zwycięzca wymusił 320,000 funtów chleba i tyleż funtów mięsa. Wycisnąwszy nadto kontrybucję 80,000 złp., król szwedzki ruszył za Augustem II w Krakowskie.

Mimo poniesionej kłeski pod Kliszowem, August przy pomocy swoich wojsk saskich, powrócił do Warszawy we wrześniu, ale z początkiem 1703 r. opuścić ją musiał ponownie. Szwedzi wkroczyli 5. lutego, a pułkownik Mardefeldt, wbrew poprzednim zobowiązaniom piśmiennym, że nie będzie nakładał nowych kontrybucyj, wyduszał z nieszczęsnego miasta coraz to nowe daniny w żywności i w pieniądzu, a przyjazd Karola XII bynajmniej temu nie położył tamy.

Popierany przezeń do tronu St. Leszczyński, wojewoda poznański, po detronizacji Sasa, obrany został na Woli 12 lipca 1704 r. August Mocny przyzwał na pomoc cara Piotra W. Jakoż w sierpniu armia rosyjska pod Golicynem wkroczyła w granice Rzeczypospolitej, a król August II, z wojskiem saskim przeszedł Wisłę pod Maciejowicami i stanął pod Warszawą, z której ledwie zdążył uciec król Stanisław ze swymi stronnikami. — Szczupła garść załogi szwedzkiej pod wodzą generała Horna, w 900 ludzi nie mogła się ostać potęgze rosyjskiej i saskiej. Po krótkim ostrzeliwaniu z dział zamku i bramy Krakowskiej i po zajęciu bramy Nowomiejskiej, Sasi dostali się do Warszawy d. 2 września a 4 poddał się generał Horn, który jeszcze bronić się w zamku usiłował. Na miasto spadła nowa kontrybucja 10,000 talarów.

W niespełna dwa miesiące, 29 października, Karol XII ze Stanisławem Leszczyńskim wjechali do stolicy, gdzie odbyła się koronacja nowego króla. Zdawało się, że August II bezpowrotnie utracił tron polski. Nadaremnie wojska saskie i polskie pod wodzą referendarza kor. Rzewuskiego kusily się o wydarcie Warszawy Szwedom i Leszczyńskiemu: walka szalała na przedmieściach, wrzała na Starem Mieście; w końcu szwedzki generał Narott zdołał nieprzyjaciół wyprzeć ku Wiśle i zmusić do odwrotu wpływ przez rzekę. Było to 31 lipca 1705.

Wojna, prowadzona z różnym szczęściem, wlokła się i wyniszczała ziemie polskie, aż w końcu szala zwycięstwa przechyliła się jednak na stronę saską. W lutym 1707 r. zajęły Warszawę wojska carskie, a po zwycięstwie nad szwedami pod Kaliszem, Piotr W. zjechał 22 lipca do miasta, zamieszkał w pałacu Radziwiłłowskim i pozostał do 25 września. Powrót Augusta II na tron i do stolicy dał hasło wojskom rosyjskim do opróżnienia Warszawy. Czego nie zniszczyły kontrybucje i zdzierstwa wojenne, przemarsze żołdactwa i walki uliczne w ciągu tych nieszczęsnych lat kilku, to w r.



1708 strawił ogromny pożar. Na ulicach zubożalego i wyludnionego miasta porośla trawa...

### III.

Do niewidzianej nigdy przedtem świetności, podniosła się stolica polska za Stanisława Augusta, równocześnie jednak Rzeczpospolita szybko chyliła się do upadku. Dwa rozbiory i ciężąca nad Polską „gwarancya Najjaśniejszej Imperatorowej“, uczyniły z potężnego niegdyś państwa, bezsilne, okrojone państewko, którem trząsał rezydujący w Warszawie rosyjski ambasador, Igelström.

Z agonii wyrwała naród chwilowo przysięga Kościuszki na krakowskim rynku i zwycięski brzęk raclawickiej kosi — w wiosennych dniach 1794 r.

Zaloga rosyjska w Warszawie liczyła 8,000 ludzi i 34 armat, nadto rozporządzał Igelström oddziałem wojsk pruskich, konsystujących pod Powązkami. Wojska polskiego pod komendą generała Cichockiego było zaledwie 3,680 ludzi.

W Starem Mieście wrzało. Dnia 17 kwietnia, w W. Sobotę nad ranem kapitan Kosmowski uderzył z koszar Mirowskich na placówkę rosyjską przy Żelaznej Bramie, w godzinę później, o 4 rano, huknął z arsenału wystrzał armatni — hasło do insurekcji. Warczenie bębnow, bicie we wszystkie dzwony, okrzyki: Do broni! rozległy się po mieście.



*Pułkownik. Jan Kiliński,  
majster szewski, radny m.  
Warszawy.*

*Sztuch niepodp. Muz. Cz.*

Na czele sprzysiężonej ludności stali X. Mejer, bankier Kapostas i radny miejski Jan Kiliński, majster szewski. Ten objął przewodztwo nad ludem. Wojsko polskie i mieszkańcy Starego Miasta wszędzie naraz rzucili się do boju. Walka wrzała równocześnie pod pałacem Igelströma na Miodowej, na Muranowie, gdzie Kiliński zdobył dwie armaty, przewaliła się na ulicę Kozią, dotarła do bramy Nowomiejskiej, toczyła się na Lesznie, na ulicy Elektoralnej i Freta, koło arsenału na Długiej jak i na Nowem Mieście, gdzie cudów męstwa dokazywał starszy cechu rzeźnickiego, Sierakowski. Z koszar ujazdowskich pędził pułkownik Haumann na czele pułku Działyńskich, rozbił Moskali na placu Trzech Krzyżów i Nowym Świecie, dopiero pod kościołem Św. Krzyża Rosyanie zatrzymali na sobie atak Działyńczyków. Po 8 rano klasztor Dominikanów

był w rękę insurgentów, pułk Działyńskich bagnietami parł wojsko rosyjskie przez Krakowskie Przedmieście koło kościoła Wizytek. W sukurs przyszli mieszczenie zaszedłszy tyły nieprzyjacielowi, który w popłochu wycofywał się z miasta. Jakiś chłopak od kowala szyną żelazną zabił pierzchającego księcia Gagaryna.

O 3 popołudniu walka uliczna ustała. Oddziały rosyjskie, które nie zdążyły wydostać się z miasta, zatarasowały się w ogrodzie Kapucyńskim przy Miodowej, w ambasadzie rosyjskiej na teje ulicy, w ogrodzie Gdańskim i pod bramą Nowomiejską.

Na ratuszu Staromiejskim ludność obwołała prezydentem Ignacego Zakrzewskiego a komendantem generała Mokronowskiego.

O świcie zaczęła się walka na nowo. Szturmowany w swoim pałacu, Igelström kazał wywiesić białą chorągiew i podczas pertraktacyj wymknął się na Powązki z generałami Apraxinem, Pistorem i Zubowem. Na wieść o tem rozjuszony lud wdarł się od Podwala do pałacu ambasady, gdzie zdobyto 95,000 dukatów w złocie i tajne archiwum rosyjskie.

Straty rosyjskie wynosiły 2,260 zabitych i przeszło 1800 jeńców — Polaków zabitych i rannych było niespełna tysiąc.

W dniu 19 kwietnia 1794 Warszawa podpisała na ratuszu Starego Miasta „akces obywatelów i mieszkańców Księstwa Mazowieckiego do aktu powstania narodowego pod naczelnictwem Tadeusza Kościuszki...“

13 lipca król pruski Fryderyk Wilhelm i generał rosyjski Fersen przystąpili do oblężenia Warszawy. Siły pruskie wynosiły 25,000 ludzi, rosyjskie — 16,000. Kościuszko mógł tej potędze przeciwstawić 17,500 regularnego wojska, 18,000 zbrojnego ludu miejskiego, a nadto milicję mieszczańską Warszawy. Oblężenie wlokło się przez sześć tygodni. Mimo sił nierównych, zwłaszcza co do ilości dział, Polacy bronili się zażarcie. Utraczkami nieraz krwawe i zacięte, ponawiały się codzień z różnym skutkiem. Od 26 sierpnia szczęście przeważało na stronę obrońców, zwłaszcza, gdy powstanie wielkopolskie silną sprawiło dywersję królowi pruskiemu. W końcu Fryderyk Wilhelm i Fersen dali za wygraną i 5 września odstąpili od oblężenia.

Chcąc przeszkodzić połączeniu się Fersena z nowonadciągającą armią rosyjską, pod Suworowem, Naczelnik skupił całe swoje siły pod Maciejowicami. Po maciejowickim pogromie oba wojska nieprzyjacielskie w 35,000 ludzi stanęły znowu pod Warszawą i 4 listopada przypuściły gwałtowny szturm do Pragi. Obrona była rozpaczliwa: 8,000 żołnierza polskiego z bronią w rękę padło na praskich szancach i poległ generał Jasiński. Rozwścieczone zoldactwo rosyjskie pod okiem Suworowa rozpoczęło nieludzką rzeź w zdobytej Pradze: zginęło 23,000 bezbronnych!

— „Do samej Wisły spotykać można było na każdym kroku różnego stanu ludzi, zabitych i umierających — pisze rosyjski pułkownik Engelhardt, tych morderstw naoczny świadek — na brzegu piętrzyły się stosy trupów żołnierzy, cywilnych, żydów, księży, zakonników, kobiet i dzieci. Na widok tego wszystkiego serce zamierało w człowieku, a ohyda tego obrazu duszę oburzała. W czasie bitwy człowiek nie tylko nie czuje w sbie litości żadnej, ale rozbewstwia się jeszcze — lecz morderstwa po bitwie, to hańba!...“

Warszawa kapitulowała 7 listopada 1794 r., 9 listopada wjeżdżał do miasta potworny zdobywca, generał Suworow.

L. R.





W bród.

Fot. z nat. T. Langer.

## WANDA KRZYŻANOWSKA: W SZPITALU.

PRAGNĘ, BY MOJE NIKLE RĘCE  
ŚWIETLISTYM KLADŁY SIĘ PŁOMIENIEM  
NA CIEMNEJ WASZEJ, GORZKIEJ MĘCE,  
DUSZE OSNUŁY ROZMARZENIEM.

PRAGNĘ WŚRÓD NOCY STAĆ WAM BIAŁĄ  
STRAŻNICZKĄ JAKĄS — Z KRAIN DUCHA,  
SKĄD BY PLYNĘŁA FALĄ CAŁĄ  
SŁODYCZ WAM JAKĄS I OTUCHA.

JAKIEŚ ŚNIEŻYSTE, SREBRNE KWIATY  
NA KRWAWE RANY PADAĆ MOGĄ —  
I CIEMNĄ BÓLU IDĄC DROGĄ  
MOŻNA W TĘCZOWE PATRZEĆ ŚWIATY.

NIECHBY W TEJ NĘDZY ZIEMSKIEJ, BRUDNEJ,  
KTÓRA OBJĘŁA WASZE ŁOŻA,  
Z INNEGO ŚWIATA ODBŁASK CUDNY  
RZUCAŁA KU WAM RĘKA BOŻA.





Pomnik króla Jana III. w Łazienkach.

Fot. z nat.

## ŚLADAMI POLSKIEJ KRÓLEWNY.

na czele zwycięskiego pochodu sprzymierzonych wojsk austriacko-niemieckich zajął Warszawę bawarski książę Leopold, brat panującego króla.

Kto wie, czy też i wódz, dokonawszy dzieła, nie miewa czasem chwili osobistego sentymentu. Może książę Leopold, wkroczywszy do Warszawy, obojętnie przebiegnie aleje Ujazdowskie czy Jerozolimskie, może nie zatrzyma go ani pałac „pod Błachą“, ani kolumna Zygmunta, ale jeśli wspiąwszy rumaka pospieszy z adiutantem swoim w stronę Łazienkowskiego Parku, to go tam przywita i wzruszy może marmurowy pomnik króla Sobieskiego. W obecnym zdobywcy Warszawy płynie bowiem krew polskich przaprzodków, wywodzących się po kądzieli nie od kogo innego, jak od Jana Sobieskiego. Zdobywca Warszawy — to praprawnuk polskiego króla, wielkiego obrońcy Wiednia.

Gdy się zajmie siedzenie na jednym z wyższych pięter dworskiego teatru monachijskiego (Residenztheater), zbudowanego za Elektora Emanuela z końcem XVII w. — oko widza, błądzące po bogatych zloceniach, pada na umieszczone wysoko ponad sceną zjednoczone herby Polski i Bawaryi. Nie zrozumiały zapewne dla pierwszego lepszego Niemca czy Bawara ten hieroglif, uderza mile Polaka, dla którego jest jeszcze jednym więcej wykładnikiem jakiejś tradycyjnej i może nieświadomej życzliwości Bawarów dla Polaków, którzy się w Monachium czują bardzo dobrze. Można w stolicy bawarskiej znaleźć jeszcze i inne ślady polskości, chociażby po Muzeach w postaci polskich karabel, wykładanych jaszczurem i turkusami; lub rzędów i siodła, lśniących od złota i haftów, świadczących o smaku i bogactwie Polaków; a także znajdują się portrety królów polskich

w Muzeum narodowym lub na fasadzie zakładu wychowawczego „Maximilianeum“, gdzie fresk mozaikowy przedstawia Jana Sobieskiego pod Wiedniem.

O pół godziny drogi koleją na zachód od Monachium leży wśród strzyżonych krzewów francuskich alei, otoczony olbrzymim, milowym parkiem, gdzie się harce na jelenie odbywały, przeszliczny pałac wspomnianego już elektora Maxa Emanuela, lśniący od złota i marmuru, na wzór Wersalu zbudowany. W pałacowej galerii przodków uderzają widza zwłaszcza portrety kobiece, a wśród nich wrywa się w pamięć Polaka, szczególnie jedno piękne i mądre oblicze, przypominające króla Jana III. To królowna polska, „die chemalige polnische Königstochter“ — jak objaśnia służba pałacowa, nie bez pewnej zarozumiałości w tonie. Jesteśmy więc w ulubionym miejscu pobytu polskiej królowny i krocząc jej śladami, dochodzimy — po zwiedzeniu licznych sal — do pięknej narożnej komnaty, ozdobionej polskimi orłami, haftowanymi w cudnym amarantowym brokacie. Dochowane jest jeszcze całe urządzenie i pamiątki po tej, która z okien, wychodzących na północny-wschód, tęsknie słała wspomnienie do ojczyzny. Wokół spokojnej siedziby panuje zakłeta cisza; piaskiem posypane ścieżki i omszałe marmurowe baseny o szumiących, kunsztownych fontannach, przywodzą na myśl dawne czasy. Jakieś zapamiętanie ogarnia przybysza; czas stanął — zda się — a za chwilę po szerokich schodach tarasu, prowadzącego na ogród, wyjdzie królowna, otoczona świetnym, gotowym na skinienie, dworem: postać niewieścia w jedwabnym robronie, hardo nosząca barokowo uczesaną główkę; może właśnie przyjmowała posłów zagranicznych dworów, może nuncyusza papieskiego, a może tylko uczonych i artystów, którymi otaczać się lubił jej małżonek, naonczas jeden z najznakomitszych wodzów w polu, a miłośnik i mecenas sztuki w domu.

Pod Wiedniem się poznali w 1683 roku, obaj tam z odsieczą przeciw Turkom pospieszywszy: król polski





*Teresa Kunegunda Sobieska. Portret olejny niepodp. w Schleiszhaim*

Jan III, wiodący 21.000 przedniego rycerstwa polskiego i zięć austriackiego Leopolda I. Kurfürst bawarski Maks Emanuel na czele 11.000 bitnych żołnierzy. Dobrze utkwily w pamięci elektora i dzielność króla polskiego i jego dostojny poczt, a gdy po stracie pierwszej żony zapragnął poraz drugi związać się dożgonnymi węzłami, udało się obrotnemu biskupowi Żaluskiemu skojarzyć małżeństwo jego z córką króla Jana Sobieskiego.

Od 200 lat poraz pierwszy znów polska królowna za mąż wyszła na dwór zagraniczny. Mimo, iż dyplomacya wiedeńska starała się małżeństwu przeszkodzić, spisano w maju roku 1694 układ ślubny, na mocy którego córka Sobieskiego otrzymała tytułem posagu sumę nanczas bajońską, bo okrągło pół miliona talarów, a gdy się za pośrednictwem wyprawionego do Polski posła Kurfürst przekonał, że oryginał odpowiada portretowi królowny, odbyły się w Warszawie w sierpniu za-

ślubiny — jak na córkę króla przystało. Przy ślubie olbrzymiej wspaniałości i wystawnego przepychu, jednak zastępował brat panny młodej — królewicz Jakób, nieobecny z powodu przeszkody pana młodego. Posypało się, ówczesnym zwyczajem mnóstwo panegyryków, między innymi: „Maximiliani Emanuelis Bavariae Ducis Cum Teresa Cunegunda de Polonorum Principe Hymen“, lub „Hymen fortitudinis et dulcedinis in Nuptis Maximiliani Emanuelis cum Teresa Cunegunda“ i i.

Za złą wróżbę uchodziła zguba ślubnego pierścienia. Ale nie bacząc na ten przesąd, młodzianka, bo zaledwie ośmnastoletnia Marya Teresa Kunegunda Karolina Kazimiera, córka króla polskiego, z bogatym pocztm polskiego rycerstwa i podarkami ślubnymi wartości 100,000 talarów, zjechała do Brukseli, gdzie jej małżonek piastował godność namiestnika. Było to 12 stycznia 1695 roku.

Nie okazała się parafianką w świetnym otoczeniu zachodniego dworu „księżna wschodu — królowna polska“. Zostawiła po sobie jasne i dobre wspomnienia, jak inne księżniczki polskie na dworach obcych, n. p. Marya Leszczyńska na dworze francuskim, lub Katarzyna Jagiellonka na szwedzkim — co nie o wszystkich księżniczkach obcych na dworze polskim powiedzieć można. Powabną postacią, pełnym cnót charakterem i nadzwyczajnym wykształceniem (władala pięciu językami), zjednała sobie niebawem serce męża, aczkolwiek początkowo stosunek był dość chłodny. Wśród dworu, będącego już pd silnym wpływem francuskim, nad całem otoczeniem górowała cnotą i powagą. Ciężkie jednak wypadło jej przechodzić koleje. Jako wzorowa matka, czuwała nad sporą gromadką dzieci, w dziesięciu bowiem latach powiła ich dziewięcioro, a małżon-



*Marya Anna Karolina, wnuczka Jana III. Niepodp. portr. olej. w Schleiszhaim.*



kowi swemu i panu“ umiała być towarzyszką życia pełnego burzliwych przejść i kłopotów. Po przegranej z Austrią w 1704 r. bitwie pod Hochstädt, posłał Maks Emanuel żonę, jako „regentkę“ do Monachium, sam zaś pospieszył do Strassburga i Metzu, aby jako książę Brabancyi otrzymać godność naczelnego generała armii francuskiej, z dochodem 200,000 talarów. Wesoło też pozatem spędzał czas na dworze Ludwika XIV.

Do dziś istnieje w Monachium piękny klasztor Serwitek, założony przez Teresę Kunegundę, córkę Sobieskiego, na skutek wotów, jakie poczyniła w Wenecyi.

Gdy bowiem Leopold I zapragnął z Bawaryi uczynić prowincję austriacką, zmuszono młodą, nieszczęśliwą regentkę do odstąpienia całego kraju wraz z wojskiem, które ograniczono do 400 ludzi i „pozwolono“ jej wyjechać do Wenecyi, synów zaś, jako „hrabiów Wittelsbachów“, wyprawiono do Celowca, skąd nadaremnie ośmioletni Karol Albrecht, późniejszy następca Maksa Emanuela, dopraszał się o pozwolenie powrotu dla matki. Wówczas właśnie ślubowała ona, że ufunduje klasztor, gdy tylko danem jej będzie ujrzeć znowu dzieci.

Dopiero cesarz Karol V. naprawił krzywdę, wyrządzoną przez swego poprzednika. Powrócił tedy Maks Emanuel do Monachium, ale poczynił sobie dość lekomyślnie, mimo złych stosunków finansowych, urządził ustawicznie bale i zabawy — przyczem koszty jednego polowania dochodziły 30.000 guldenów — budował na jeziorze starnberskiem zbyt liczne statki, na

300 wiosł, jak uwieczniony pędzlem i rymami „Bucen-taur“ wenecki.

Dwaj synowie, ukończywszy uniwersytet w Grazu, dostali się na dwór Ludwika XV do Fontainebleau, a gdy się tam ich obyczaje gruntownie popsuly, wysłano ich do Rzymu i poświęcono dla ekspijacyi stanowi duchwnemu. Jeden został kardynałem w Regensburgu, drugi arcybiskupem w Kolonii, a jedyna córka Marya Karolina wstąpiła do klasztoru Klarysek w Monachium, przyjąwszy imię klasztorne Teresy Emanuela.

Wśród takich warunków pędziła żywot, pełna starań o dzieci i trosk o męża, królowna polska na dworze bawarskim, jednając sobie przydomek „czulej i troskliwej“ („die zärtlich sorgende Tochter des Pollenkönigs Sobieski“).

Ciekawe bywają losu koleje i kaprysy, dziwny ich związek, zdumiewająca dziejowa sprawiedliwość. Dziś Turcyja, która wówczas wyruszała na podbój Europy, jest sojusznikiem Austrii i Niemiec przeciw Francuzom i Włochom, do których chronił się elektor bawarski i jego małżonka przed naciskiem ówczesnych „wrogów“...

Dziś też do Warszawy na czele sprzymierzonych wojsk austro-niemieckich wkracza,

praprapotomek polskiej królowny, bawarski książę Leopold, zięć cesarza austriackiego,

J. Geszwind.

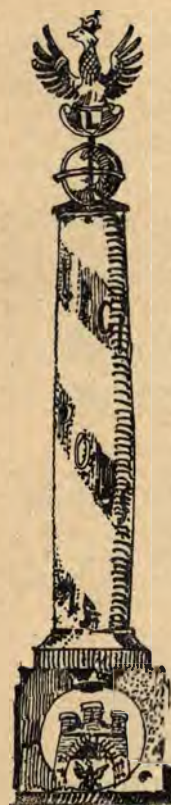
Wiedeń, w sierpniu 1915.



Wozy trenu Legionów.



# SZESNASTEGO SIERPNIĄ.



Wypadki olbrzymiały z godziny na godzinę.

To, co było dotychczas tylko teorią historyczną lub rymowanym opowiadaniem o epokowych chwilach w narodzie, stało się realną, żywą prawdą. Pochyliły się głowy myślą brzemienne, zabiły serca i drgnęły sumienia, wielki czyniąc obrachunek:

A więc... na miarę krawca, czy Fidyasza?

Było to w połowie sierpnia roku ubiegłego. Dziś, w pierwszą rocznicę perspektywa historii pozwala już miarkować i sądzić — może jeszcze nie nieomylnym wyrokiem wielkiej sprawiedliwości, ale prostym poczuciem sumienia i charakteru. Kto tylko patrzeć chciał, ten w dzień historyczny 16 sierpnia dojrzał wiele, bo czasem starczy dzień jeden za tomy historii..

Popatrzmy i zmiarkujemy:

Oto nagle przed rokiem — wybucha kataklizm dziejowy jak płomień wulkanu, i jak wulkan rozbija skorupę ładu Europy — a my, zwykli śmiertelni zjadacze powszedniego chleba, tkwiliśmy przy swym warsztacie pracy w fabryce, czy przy biurku, wiodąc życie zwykłych, prostych ludzi. Nie wielu z nas śniło epopeje; były one gdzieś za nami w sferze marzeń, prawie niewiarygodnych snów związanych z grobami. O Chrobrych, Sobieskich i Poniatowskich chcieli się omal powiedzieć: *Legend a* — gdy w tem epopeja stała się żywą prawdą dniem dzisiejszym. Rycerze, bohaterowie i wodzowie z legendy przejść mieli do prawdziwego działania, powieść zamienić się musiała w czyn. Przyszło to nagle — przeraźliwie nagle, a wypadki szły lawiną dzień po dniu, tydzień po tygodniu, cały wielki historyczny rok.

I stało się jednak, że jesteśmy w tej epopei. W jednej niepojętej chwili lemiesz przekuły się na broń — w jednej niepojętej chwili z szarego tłumu wyrósł rycerz, i szli na śmierć — w jednej niepojętej chwili opadły słabości i to co małe i to co niskie i wyszedł duch patrzący twarzą w twarz wielkości.

Stał posąg na miarę Fidyasza.

Takie snuły się w nas myśli, gdyśmy szli rano czcić rocznicę 16 sierpnia. Zbierający się tłum rankiem pod świątynią Najświętszej Panny, zdawał się mieć jedną myśl, jedno czucie i jedno serce. Było tam wiele więcej jeszcze nad to co wyrazić może pióro notującego kronikarza. Takie chwile, kiedy nieprzejrzany tłum schodzi się u drzwi pańskiej świątyni na jedną, wielką wspólną ducha naradę, zna Kraków, zna i Warszawa. Malejko umiał przed oczami wyobraźni wkrzeszać tłum, w którym mieszały się pańskie atłasy z chłopską sukmaną i mundurem żołnierza, wymowne twarze i senatorskie i zorane śladami ciężkiej pracy a skupione, poważne. Wielkiego pendzla i wielkiego pióra godną była ta godzina. W kolorowych głębiach nawy zabłysły światła; rzesze ogromne zatoneły w żarliwej modlitwie — błaganu, a najwymowniej mówiły nieledwie, że powszechne lzy. Zrywająca się pieśń wzrastała jak burza tysiącami wzmrożona głosami: *Ojczyznę wolność racz nam wrócić Panie*. Gorący krzyk pieśni, był wołaniem o wielkiego ducha Skargi: niech stanie dziś on tu nad narodem z wzniesionymi ku górze rękoma, niech każe, niech wypomina, mądrością zasila, kazał ongiś jak w krakowskiej katedrze przed Zygmuntem III. Albowiem potrzebne jest duszy słowo wielkie.

A potem pod kolumną legionów. Tesame rzesze, to samo podniosłe uczucie jak we wielkie święto. Kolumna legionów... takie kolumny swym bohaterom tworzy naród, który chce czuć, że żyje, że jest, chce to stawić przed oczy wypisane niezmazanymi głoskami... I pisze kolumną! niech ona stoi na świadectwo tej prawdy. Nie było przy jej odsłonięciu pochwalnych mów, dziękczynnych odpowiedzi. Lecz na niej srebrnymi wbijanymi gwoździami piszą się dzieje polskie naszych czasów.

Nie było człowieka, dla którego dzień ten byłby objętym, czy objawiało się to na zewnątrz kokardą narodowych kolorów, czy nie. Wielka, głęboka, poważna była cisza, gdziekolwiek zeszły się rzesze, by uczcić pamięć tego dnia, ale takiej ciszy właśnie pożądaną. Bo wyższą była nad słowa, ta mowa ciszy i wymowniejszą od słów . . . . .

Wysocki, gdy prowadził podchorążych w 31 r. na Belweder czując wielkość chwili, wołał:

— Żołnierze! zapamiętajcie dzień 29 listopada...

Piękny dzień sierpniowy dojrzałego lata, przyszedł po dniu jesiennym. Zapamiętajmy!

F. F.

## ANNA SŁONCZYŃSKA: TRZEBA — NIEWOLNO.

SA W MOWIE LUDZKIEJ SŁÓW TAKICH TYSIACE,  
CO SIĘ NA USTA NIE CISNĄ Z POŚPIECHEM...

LE CZ SA, JAK DŹWIĘKI BEZ ŚLADU MILKNACE,  
KTÓRYM GŁOS ŻADEN NIE OZWIE SIĘ ECHEM!  
TON ICH, JAK PUSTY KŁOS, NIGDY NIE DZWONI  
ŻADNĄ BOLEŚCIĄ, NI ŻADNĄ ROZKOSZĄ,  
WIĘC ONE STRUNOM ŻYCIOWEJ HARMONII

NIC NIE PRZYNOSZĄ. — —

SŁOWA TE NIE SA TAKĄ MANNA BOŻA,  
KTÓRA NA GŁODNY LUD PADAŁA Z NIEBA —  
ANI NIE ZBURZA NIC, ANI NIE STWORZA,  
A JEDNAK MÓWIĆ JE — TRZEBA!

ALE SA SŁOWA PALACE, JAK PŁOMIEN...

SŁOWA, CO WARGI ODDECHEM SWYM PIEKA  
I W CHWILACH MEKI I W DNIACH OSZOŁOMIEN  
TAK DRŻĄ NA WARGACH, JAK ŁZY POD POWIEKĄ!...  
SŁOWA, CO W DUSZY SKRZYDŁAMI ŁOPOCA,  
I CHCĄ WYWALCZYĆ BYTU SWEGO PRAWA,  
I CHCĄ SIĘ NA ŚWIAT WYDOSTAĆ PRZEMÓCĄ,  
JAK WRACA ŁAWA. —

SŁOWA, CO MOGŁYBY W POWIETRZU SZAREM  
METEORYCZNYM SIĘ OGNIEM ZAPALIĆ...  
I BYĆ DLA WIELU — ODWAGI SZTANDAREM,  
STO HASEŁ STWORZYĆ I DRUGIE STO ZWALIĆ,  
BO MAJĄ W SOBIE MOC — CUD CZYNIĆ ZDOLNĄ,  
LE CZ ICH WYMÓWIĆ — NIE W O L N O !



# J E R Z Y Ż U Ł A W S K I

Gdyby miecz w serce lub śmiertelna kula —  
Lecz nie!... szpitalne łoża i ko  
szula!  
J. Słowacki.

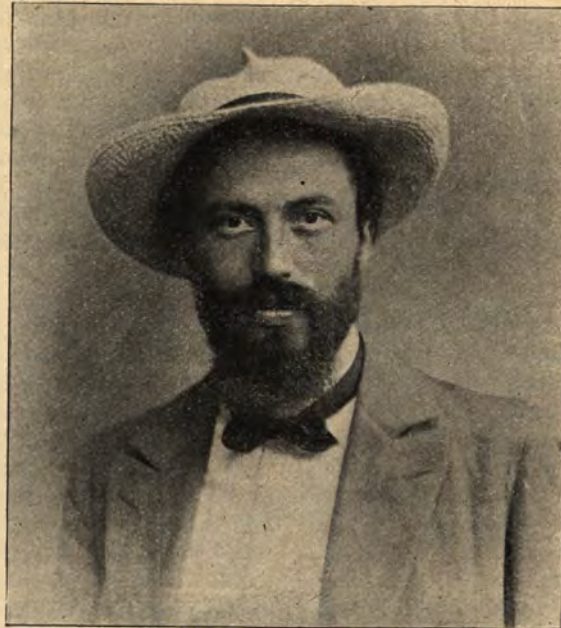
W biednej mieścinie, wojną w pół rozburzonej, pełnej świeżych jeszcze gruzów i pogorzeliisk, na uboczu gdzieś odludny, straszny dom, zdaleka trwożnie omijany: szpital zakazny; tam wśród ścian ziejących grozą i śmiercią, przez dwa tygodnie dogorywał samotny, od swoich ukochanych odcięty człowiek, który był jednym z pierwszych, najczystszych poetów naszego pokolenia.

W pełni lat, sił, twórczości, zasługi narodowej, tak przedwcześnie umierać — i tak marnie! Jeśli przyjść już miała śmierć, to żeby choć na krwawym polu prędką śmierć, taka mężna i rycerska, jak mężny i rycerski był człowiek.

Bo w Żuławskim charakter i usposobienie i umysłowość i talent, wszystko miało lwia moc i granitowy hart. Była w nim jakaś zamasyzta i posuwista, tętniąca życiem tężyzna, wyniesiona z ojczystego gniazda, z modrzewiowego szlacheckiego dworu na sądeckim podgórzu, był polski temperament, rozlewny i kipiący jak ognista lawa, nadewszystko zaś było serce polskie żarliwe, czujące głęboko i całe Polsce oddane. Syn powstańca z 63 roku, miał już w tradycyi domowej, w rodzicielskim, najbliższym i żywym przykładzie, wytknięty drogowskaz patriotycznego obowiązku. Wiejskie dzieciństwo, zdrowe i krzepkie, owiane ostrym podmuchem od górskich pól i borów a potem w mieście młodość nad książką spędzona, przynosząca światy całe nowych, odmiennych pojęć: nie wystudza się serce, nie krzepnie bujna krew, tylko się oczom otwierają dalekie, nieznane widnokreśli, pogłębia się, rozrasta, wzbogaca myśl żadna wiedzy. Podróże po szerokim świecie, zagraniczne pobyty w Niemczech, Szwajcaryi, we Włoszech, studia filozoficzne: Spinoza, Schopenhauer, Nietzsche, zatapianie się w bezdennych otchłaniach Buddaizmu, szukanie dróg mądrości i prawdy przedwiecznej w hebrajskich prastarych księgach Biblii, a nawet w mrocznych labiryntach Talmudu — nietrudno zgadnąć, jaki to wszystko wywoływało przewrót wyobrażeń i wierzeń, przez ile rozdzierających zwątpień i bolesnych wstrząśnień przejść musiał umysł pasujący się z sobą wewnątrz, jeszcze umysł tak zapalny, wrażliwy i lotny; w jakich katuszach targano się i krwawiło serce między tem, co było jego świętem dzieciństwem, wyniesionem z rodzinnego domu, a tem, co było zdobyczą młodzieńczą, przyniesioną z dalekich światów!

Ale czemże była ta zdobycz?

Nie mogła zastąpić tego, co burzyła, nie umiała nadać rozmachu skrzydłom, które nadwichnęła, bo przecie:



*Jerzy Żuławski.*

Wszystkie się wiary okazały niczem,  
Mocy nie miały w sobie żadne godła  
I wszystko było marzeniem zwo-  
dniczem...  
K. Tetmajer.

Więc pustka? ciemność? Nic-  
cość?...

W Żuławskim zrywa się Polak i ponad wszystkie odmęty zwątpień wynosi jedną niczem nie zachwianą prawdę:

Nam nie wolno zbywać wiary:  
Polska nie zginęła jeszcze!  
To nie mrzonką, nie marzeniem;  
to jest prawdą, to spełnieniem  
dziejów...

To jedno zostało w nim pewne, nienaruszone, potężne, jak ballazowa skała, której przemódz nie mogą żadne nawałności, ani skruszyć żadne huragany.

Cóż, że wróg nam ziemię bierze,  
coż, że kala nam pacierze,  
coż, że krew się leje rzeką,  
że kajdany z nóg się wleką? —  
póki tylko w ustach płonie  
mowa ojców wielka święta,  
nam nie straszny ból ni pęta —  
duch w potopie nie zatoni!

Więc nam ducha, ducha trzeba,  
pieśni więcej niżli chleba,  
bo pieśń rodzi i pieśń „skrzecza,  
pieśń moc daje i ocala;

My powstaniem i żyć będziemy:  
nie miecz, kosa, plug i brona,  
ale harfa rozdzwoniona  
życia stanie się narzędziem —  
jeno pieśni nam potrzeba,  
coby rodem była z nieba!...

I to jest posłannictwo, jakie sobie i swojej poezyi wytknął, to droga, po której krok za krokiem wspinał się na wyżyny. W epoce, gdy nasza poezya zahypnotyzowana francuskim symbolizmem wygrywała harmonijne pianissima najsubtelniejszych stanów duszy, roztafiała się w miękkich uczuciach i niedopowiedzianych nastrojach, dobierała półbarwy, półcienie i półtony, zestawiała wyszukane harmonie sylab i nizała girland wytwornych rymów — Żuławski mówi „po prostu i z krzykiem“, uderza w tony gwałtowne, rzuca kolory mocne, niekiedy aż jaskrawe, z piersi wezbranej wylewa całe potoki uczuć burzliwych i niepohamowanych, kocha i nienawidzi, modli się i przeklina, pyszni się i korzy, tryumfuje i rozpacza. Ma poczucie swej siły wulkanicznej, nie wstydzi się jej, owszem chce być i umie być groźnym i wspaniałym, tragicznym i patetycznym, wzniosłym i potężnym; umie pieśnią druzgotać, rozplomieniać, porywać w niebo słuchacza lub strącać go w przepaść. Jego stać na to; ma słowa i rymu bogactwo nieprzebrane, bujność i płynność niewyczerpaną. „Mowa ojców, wielka, święta“, w jego ustach jest mocna i dobitna, zdolna wszystko wyrazić. On, jej pan samowładny, kocha ją, wielbi i woła pełen podziwu:



..... O ty polska mowo,  
ty słuگو moja i moja królowo  
moja kochanko i siostró i matko!

Pielgrzymując w górę, wyżej i wyżej po tym szlaku podniebnym, który sobie sam zakreślił, zмага się z sobą, cierpi, rośnie duchem,

O bo stalowa ta struna nie miękka!  
dreszcz jej lutniście dłoń i serce krwawi...

Ale to nic, byle tylko dobrać tę pieśń co „rodzi i wskrzesza i moc daje i ocala“. Taką pieśń wyśpiewać, taką pieśnią narodowi służyć, na to potrzeba samemu być mocnym i zdrowym w sercu, trzeba samemu wierzyć i ufać, trzeba w sobie znaleźć męstwo i spokój wewnętrzny żadnem zwątpieniem niezmacony. I on to wszystko wywalcza, zdobywa, odnajduje w swej duszy, ale po jakich trudach i mękach!

Chciałbym dodać wam wiary, nadziei i otuchy,  
dlatego właśnie, że mnie nikt wiarą nie poił,  
chciałbym wam rany goić, bo mnie nikt nie goił  
ran serdecznych! Podnieść chciałbym wasze duchy,  
bo w zwątpieniu nie podniósł mnie nikt dłonią bratnią,  
chciałbym wam dać to wszystko, czego mnie nikt nie dał,  
com wywalczył dopiero, gdy zdrowie zaprzedał,  
siły stargał przedwcześnie, łzę wylał ostatnią.  
(Apostrofa).

Tu już przezwyciężone wszystko. Został jeszcze tylko wielki ból, przyciszony, głęboki i większa od bólu miłość, która rada rozdać to, co cierpieniem okupiła i zdobyła. Tu jest jeden ze szczytów skupionego w swej potędze uczucia i poezji najwyższej, bo prostej, z serca idącej.

Równocześnie wyobraźnia twórcza snuła z siebie długim szeregiem dramaty i powieści, jedne i drugie najczęściej zabarwione fantastycznie; w jednych uderza naprężony, gwałtowny tragizm, w drugich szerokie, niemal epickie ujęcie przedmiotu. Nie dziw, że takie dzieła znalazły żywy oddźwięk i rozslawiły nazwisko autora. Oceniać je, rozbierać, wskazywać ich znane zalety,

wyznaczać miejsce, jakie się któremu z tych utworów należy w dorobku literackim Żuławskiego — to już nie wchodzi w ramy wizerunku pośmiertnego, kreślonego jedynie z tym zamiarem, by w głównym zarysie uchwycić duchowe oblicze zgasłego poety. Najbezpośredniej wypowiada się on w liryce, w której prześwieca jego wielkie, proste, gorejące uczucie...

Wojna i wszystkie związane z nią nadzieje i pragnienia narodu, nastroiły wysoko i rozplomieniły tę duszę namiętą i szlachetną, zdolną porywów najwyższych, poświęceń samorzutnych, ofiar bezgranicznych.

Porzucił rodzinę, zaciągnął się pod sztandar Legionów. Odżył, odmłodził, promieniował męstwem i zapalem. I w tem podniesieniu serca wydobyl z siebie wiersz jeden z najpiękniejszych, a może ostatni z wszystkich:

Synkowie moi, poszedłem w bóg,  
jako wasz dziadek, a ojciec mój,  
jak ojca ojciec i ojca dziad,  
co z Legionami przemierzył świat,  
szukając drogi przez krew i blizny  
do naszej wolnej Ojczyzny.

Synkowie moi, da nam to Bóg,  
że spadną wreszcie kajdany z nóg  
i nim wy męskich dojdziecie sił,  
jawa się stanie, co dziadek snił:  
szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny  
łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz gdyby Pan  
nie dał wzejść zorzy z krwi naszych ran,  
to jeszcze w naszej piersi jest krew  
na nowy świętej wolności siew:  
i wy pójdziecie, pomni puścizny  
na bój dla naszej Ojczyzny!

Biedni mali synkowie, choć ojca może nawet nie zapamiętają, przecież „pomni puścizny“, którą po nim wzięli, z dumą będą mieli prawo myśleć o tym ojcu, że

był lutnią, w której dusza ludu śpiewa!

Lucyan Rydel.



Wieczór nad Nidą.

Fot. z nat.





Zaprzysiężenie V. kompanii Legionów Polskich w Wiedniu.

Fot. z nat.

## PRZYGODY ANTAJOSA.

Był synem Gei-Ziemi, zwał się Antajos-Oporca i był też z niego zapaśnik nielada i uparcioch twardy.

Był synem Ziemi-matki, bywał zamaszysty i dzielny, lecz zarazem był i serdeczny szczerze i ochoczy, choć zapalczywy, nieco chępliwy i płochy, czasem porywczy, a zawdy radosny, — radosny zwłaszcza, gdy się na ziemi rozciągnął pokotem, gdy tulił się do niej, jak dzieciak w pieściu, w szept jej niby wsłuchiwał i tarzał po niej rozkosznie.

Odłączywszy je od łona, Geia-matka rzekła była ongi niemowlęciu:

— U mej piersi twa moc i siła. Do niej się garnij, ilekroć na siłach opadniesz w trudzie czy ucisku, lub gdy ramię osłabnie ci pod naporem. Do niej się garnij, a sproszasz przemocy wszelakiej.

Słowa matczyne przebrzmiały i zatarły się niemal w pamięci dziecięcej, a snąc niewolny pociągami wrodzonym, Antajos z lubością wyciągał się na wznak na ziemi podścielu pulchnem, oczyma chwytając się nieba, hen gdzieś ponad sobą w dali, a tuż pod sobą, pazurami ziemi. Lub zgoła plackiem na nią padał twarzą, by pierśią do niej przyłgnąć szczerze, ufnie. A gdy znów z ziemi wstawał, oko gorzało mu ognistymi skrami, w żyłach krew tętniała ukropem wartkim i gorącym, z pod warg czerwonych, nabrzmiąłych, rozchylonych uśmiechem uciesnym, zęby białe błyskały drapieżnie, a w ramionach krzepkość się panoszyła, tak żywa potężnie, że co tchu miał się trudu i pracy, by nadmiar mocy usmiężyć znojem ciężkim a kojącym.

Z niemowlęcia — dzieciak krnąbrny, z dzieciaka — pacholę zuchwale, z pacholęcia — młodzieniec zadzięrzysty, a z młodzieńca chłop wyrósł mocny i setny, co bary szerokie naszał wyżej niż rówieśnicy czoła, pierśią dychał jak miechem, a ramiona miał tak ciężkie, a pięście tak twarde, iż już ani dbał o to, by pierśią pić siłę z łona Ziemi-matki; starczyło, by się rozkraczył i wrył w nią piętami głęboko, by się pod boki ujął, a wzrokiem hardym wkrąg powiódł za śmiałkiem, coby ważył się sprostać mu w odwadze i sile, — nikt się nie kwapił, a kto się ośmielił, żałował. Więc Antajos-Oporca mawiał z dumą:

— Bajali pani mama bym do niej garnął się o siłę; mam ci ja własnej siły dosyć!

A wszyscy mu przytakiwali kręgiem szerokim, dalekim.

Aliści dnia pewnego zjawił się skądś przychodzeń przybłęda, co po Hesperyd jabłka złote szedł przed się naoślepi, maczugą straszliwą ścieżkę sobie torując przebojem. Że to był nad mocarze mocarz, że to był Dzeusa bękart cudzołożny, że mu ojciec-bóg użyczył siły niezmożonej, a sama Atene podszeptowała chytrności przebiegle, że Dzeus-ojciec uzbroidł go na walki w nadmiar zwierzęcości człowieczej, przygasiwszy w nim boskości iskrę, na ludzi zbytęcną, — że to był, słowem, półbóg przepyszny, grubokarczny, długoreki, wąskoczoły, — nadźwierz, a podczłowiek, — tego syn Gei-Ziemi ani wiedział, ani dbał o to, ni pytał, i na widok jego jeno w boki się ujął i huknął półbogu zuchwale a gromko:

— Tędy ci droga, bratku? Szukaj innej i idź, pókim dobry — mimo!

Wsparty na maczudze, pochylony, olbrzymi, prze-możny, Herakles kroczył wprost na Antajosa, nie zbaczając, a gdy już był tuż obok, spojrzął na Oporcę zpod łba i rzekł spokojnie bez gniewu i przechwałki:

— Moja droga wprost przed się, naprzelaż, naoślepi, przebojem; wszelkiemu, co mi w drodze, biada!

— A to chodź, bratku, jak cię świędzi! — i Antajos rozparł się, rozkraczył, wrył piętami w ziemię głęboko.

Nie takim dawał radę półbóg mocarny, co lwa nemejskiego w dłoniach zdusił, dzika erymanckiego jedną garścią ztlamsił, byka kreteńskiego uskromił kulakiem. i samego Geryona, olbrzyma-trójgłowca, obalił przemocą, po drodze Europę od Afryki oderwawszy psotnie! Zawsze zwycięski, Herakles nie zaznał oporu, więc nie znał i gniewu. Na Antajosa kroczył tedy zwolna i spokojnie, jak nurtem równym rzeka mierzy w ujście, jak przed się sunie siła nieprzeparta. Nie przystając, ręką zagarnął Oporcę za bary i w bok nią śmignął... prózną: ręka zślizgnęła się z karku, a Oporca stał, jak stał, rozkraczony, w boki wsparty, piętami w ziemię wryty, uśmiechnięty a hardy i ani drgnął pod szarpnięciem ręki niezmożonej. Zdumiony, że mu jedną ręką nie zdzierzył, Herakles porwał się na Oporcę oburącz i, zmagając się, siepać nim jął i chwierutać siłą straszną, siłą z boga rodem: Oporca zachwiał się na nogach, ugiął w krzyżu, jak pręcie leszczyny, jak długi na ziemię gruchnął powalony i:

— Ni kroku dalej! — huknął, zagradzając Heraklesowi drogę ramieniem nieugiętem, co sztywniało i twar-dniało w oczach, jak spiż, gdy zastyga.



I syn Gei-Ziemi dźwignął się znowu, zuchwale oporny, z siłą tak zmożoną, że na jej widok Herakles zawrzał gniewem słusznym: nie postawić na swoim jest półbogu krzywdą; jego woli opór — wręcz zbrodnią! Bękart boga oporu nie ścierpi, oporu na ziemi nie zazna. Ryknął Herakles gniewem srogim i spiął się z Oporcą całą mocą, której żaden śmiertelny nie sprostą. Zbrojny siłą nadludzką i gniewem, syn boga zwarł się z synem Gei zmaganiem straszliwym i wnet cisnął nim o ziemię z rozmachem tak wielkim, że aż ziemia jękiem zadudniała.

— Ni kroku dalej, bratku! — huczał znów Oporca, ledwo co obalony na ziemię rodzoną.

I znów, jak stał, stoi — siłami świeżemi skrzepiony, uparty, nieugięty, hardy. Lecz i w Heraklesie siła wzmogła się wielmożna, oporem wyjudzona z boskiej ojcowizny, iż ilekroć Oporca zrywał się z ziemi skrzepiony, półbóg chwycił go w objęcia uściskiem żelaznym i raz wraz miotał nim o ziemię i ciskał zajadle z mocą wciąż rosnącą, nim się spostrzegł, że im silniej syna Gei w ziemię wgniata rozmachem potężnym, tamten zrywa się tem raźniej, rzeźwiej, jakby mocą nową orzeźwiony, wskrósł spęcniący, i z nowym wciąż hartem wołający:

— Ni kroku dalej, bratku!

Coraz też twardszem ramieniem drogę zagradza półbogu, aż w twarz mu buchnął śmiechem przekornie i drwiąco:

— Odsapnij, bratku! Ja prześpię się nieco tu na ziemi litej: w bok odrzucić śpiącego, jeśli zdołasz; zbudź, jeśli wolisz igrać z nim na jawie; najlepiej precz idź, pókim dobry!

Antajos na gołej ziemi zasnął uśmiecnięty, jak ongi na łonie Gei-matki sypiał niemowlęciem, a Herakles zżymał się i miotał; wyżymawszy, dumał. Dumał treściwie i zwięźle:

— Wprzód muszę, bądź co bądź, wprost przed siebie, naprzelać, naoslep, przebojem.

Półbóg dumał mądrze, lecz dumał jałowo. I byłby pewno tak dumał długo bardzo, gdyby wylekła o powagę Olimpu Atene, siostra z głowy Dzeusa przyrodnia, nie stanęła mu była u boku pomocnie i nie rzekła dobrotliwie:

— Z synem Gei nie wskórasz nawet siłą naszą, jeśli go wpięrow podstępem nie oderwiesz od ziemi, macierzy troskliwej, z której nowe siły czerpie nieustannie. A ty go jeszcze w złości sam na nią ciskasz, ty głuptasie!

Bogini, rzekłszy, znikła, a syn boga myślał. Tarł długo czoło niskie swą dłonią ogromną, myślał a myślał, aż umyślił podstęp. Pod ramiona śpiącego podsunął swą maczugę ciężką, a pod plecyma jął mu żywo dół złościć garściami, by tamten nad dołem na maczudze zawisnął, od ziemi odcięty. Rwał ziemię garściami rażno, nim się tem wszakże uporał, syn Gei, przez sen przewalając się z boku na bok, upadł z maczugą na ziemię. I tak bezwiednie, sennie, a niechybnie, z boku na bok wciąż się przewalał na ziemi z ponad dołków, które wciąż półbóg kopał pod nim zdradnie. Aż Oporca zbudził się, ziewnął, przeciągnął, i zapytał z śmiechem:

— Ty jeszcze tutaj, bratku? Ruszaj precz, pókim dobry!

Herakles znów tarł czoło niskie długo, mocno i uparcie, oczyma w boki lypając zpod łba chyłkiem, aż je rozpozgodził wysiłkiem rozmyślnym i, usta wykrzywiwszy uśmiecchem przyjaznym, rzekł mile:

— Tyś dobry; i ja dobry: wszak sam czuwałem nad śpiącym. Czy ty wiesz, kto ja jestem?

— Co mi tam?

— Ja syn bogal

— Ja także.

— Czem Neptun wobec Dzeusa gromowlady?

— A no prawda. Lecz czem twoja matka ładacznica wobec Gei-Ziemi, macierzy mej odwiecznej?

— Po matce twej każdy depce.

— Ty nie będziesz!

— Rzeknij mi, synu Gei, czemu szukasz ze mną zwady?...

— Zwady nie chcę: idź mimo, rozstaniem się w zgodzie...

— Ja wprzód muszę; naprzelać, naoslep, przebojem, wciąż muszę. Kto stawą w mojej drodze, bluźni ojcu-bogu. Nie bluźnij. Tyś silny i ja silny. Lecz we mnie, prócz własnej, siła Dzeusowa, której nic się nie ostoi.

— Ja tam mam w łapach swoją siłę własną, też nie-zgorszą.

— Nie poradzisz. Lecz poco spierać się napróżno? Chodź raczej zemną. Ja idę po jabłka Hesperyd; chodź ze mną, dam ci jablek złotych, podzielim się, jak bracia.

— Jabłka złote? a dobre?

— Jabłka szczerozłote, jabłka, jakich przed nami nikt jeszcze nie jadał. Będziem pierwsi: ty i syn Dzeusowy!

— A daleko?

— Stąd widać, byle stanąć wyżej. Chcesz, to cię dźwignę w górę, zobaczysz na oczy.

— Nie cyganisz?

— Mieć będziesz jabłka złote, klnę się na Dzeusa-ojca, byleś poszedł ze mną!

— To mię dźwignij. Podołasz?

— Spróbuję. Jakiś ty mocny i dzielny, synu Gei!

I Herakles lewicą podjął go pod uda, a prawicą chwycił za gardziel. Dzierżąc go w górze wysoko nad ziemią, bękart boga ryknął teraz śmiechem długim, dzikim, zwycięskim, huczącym i zawołał, uciesznie się naigravajuć:

— No chodź ze mną, a jeść będziesz Hesperyd jabłka złote!

— Puszczaj!

— Tego nie było w umowie! Chodź ze mną, jeśli możesz, a dam ci wbród jablek szczerozłotych, — klnę się na Dzeusa!

Próżno Antajos szarpie się i miota, próżno sili się, by choć palcem dotknąć znów ziemi-rodzicielki: w objęciu żelaznem Heraklesa zawisnął bezsilny, a ten, szczerząc zęby ciągiem, rży mu nad uchem śmiechem straszonym, jak gruchot gromu przeciągle dudniącym, paluchami wymacując krtań Antajosową. Nie spieszo mu, lup pewny: nie poskoczy ku synowi w górę Ziemia-matka! Lup pewny: nie spieszo Heraklesowi dodławić Oporcę. Cieszy się nim i bawi. Ścisną za krtań wolno, ostrożnie, coraz silniej, i znów palców odchyła, by tamten zachłysnął powietrza...

— Bajali pani mama...

Harczy Antajos-Oporca pod naciskiem ręki niezmożonej. Raz jeszcze dobył głosu:

— Matko! Ziemi-matko!

Już zamilkł i dech stracił do cna...

Półbóg rozluźnił uścisk i rozwarł ramiona, pot z czoła otarł ręką naodlew i cielsko bezwładne kopnął z drogi nogą. Wsparł się na maczudze, pochylił wprzód i przed się ruszył prosto, naprzelać, naoslep.

Ruszył przebojem po jabłka Hesperyd, po jabłka szczerozłote, po łakocie półbogom łakome, a ludziom niestrawne.

T. Ż. S.



# TEATRY POLSKIE PODCZAS WOJNY.

## I.

Nawałnica wojenna, która szaleje nad naszymi ziemiami, zachwiała bytem scen polskich. Wszędzie na prowincyi zamilkły muzy teatralne a podobnemu losowi uległy teatry stałe w Wilnie, Łodzi, Lublinie, Kijowie, Poznaniu i Lwowie.

Dwa tylko miasta ostały się, w których życie teatralne pulsuje. Pierwszem jest Warszawa, drugim Kraków.

W najszcześniejszych warunkach znalazła się Warszawa, ponieważ ciosy wojny najmniej ją dotknęły i najdłużej, mimo bliskości terenu wojennego, nie była uważana przez sztab rosyjski ani przez swych mieszkańców za fortecę zagrożoną. Nadto psychologiczne czynniki Warszawy, olbrzymi zjazd obywatelstwa ze wsi Królestwa, nagromadzenie mas wojskowych i płynący skutkiem tego w mieście szeroki strumień złota, przyczyniły się do utrzymania tem żywszego pulsu teatralnego w jej murach. Wszystkie warunki mimo grozy wojennej sprzyjały rozkwitowi muz warszawskich na licznych scenach. Do ostatnich chwil nic nie wskazuje, aby jakiegokolwiek zmiany zaszyły pod tym względem.

To też nie ma dziwu, iż ubiegły rok teatralny w Warszawie pod względem finansowym należał do najpomyślniejszych w ostatnich dziesiętkach lat. Pracowały bez wytechnienia wszystkie sceny stałe jak Teatr Rozmaitości, Teatr Wielki, Teatr Nowości, Teatr Polski i Mały, dalej przekształcił się i funkcyonował Teatr Popularny, Teatr dla Wszystkich i Teatr Współczesny. Lato zaś powołało do życia scenę w Bagateli, ciesząc się ogromnym powodzeniem, bo łączącą uciechę oddychania powietrzem pięknego parku z wrażeniami krotchwilnej muzy.

Tak to Warszawa nie tylko, iż nie utraciła żadnego ze swych piór teatralnych, z których była dumna, ale jeszcze wyrosły w jej skrzydłach nowe lotki „wojenne“ — sceny takie jak Teatr Popularny, Teatr dla Wszystkich i Teatr Współczesny.

Te trzy ostatnie nowe sceny, z których dwie pracują we wszystkich dniach tygodnia („Popularny“ grywa tylko w niedzielę i święta) to objaw bądź co bądź charakterystyczny wzmoczonego zamiłowania mieszkańców Warszawy do teatru i wysoki wykładnik nagromadzonych zasobów materyalnych w syrenim grodzie.

Wojna zatrzymała wiele z wybitnych osobistości świata teatralnego Warszawy za granicami Królestwa Polskiego w chwili swego wybuchu. Przez kilka miesięcy był nieobecny ulubieniec Warszawy Mieczysław Frenkiel, Józef Śliwiński, Tekla Trapszo-Chodowiecka, którzy dopiero kolejno via Bukareszt dotarli do Warszawy przed Bożem Narodzeniem. Do dziś dnia w Za-

kopanem bawi kierownik Teatru Rozmaitości dyr. Ludwik Solski.

Wojna porwała nadto Warszawie Jerzego Leszczyńskiego, Zarzyską, Słubicką i Grabowskiego, występujących obecnie na krakowskiej scenie teatru miejskiego.

W tym to okresie czasu ujrzały w Warszawie światło kinkietów sztuki, których cenzura nie chciała poprzednio puścić, a które pozwoliła wystawić w czasie wojny, aby dać choć złudę, iż coś spełnia się z manifestu Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza; a mianowicie „Szlakiem legionów“ Morsztyna i „Wesele“ Wyspiańskiego. Zaroilo się również na scenach warszawskich od przygodnych utworów tendencyjno-politycznych, rzadko szczęśliwych pod względem literackim, częściej obliczonych na efekt chwili.

W ostatnim okresie Teatr Rozmaitości wystawił „Don Juana“ Tadeusza Rittnera z Wojciechem Brydzińskim w roli głównej. Kto zna tego świetnego artystę, działającego na widzów siłą poetycką i mocną uczuciowością, pełnego smaku i dbałego o wykwiętą linię rysunku, pełnego również sily charakterystycznej, ten zrozumie, iż Don Juan mógł być zagrany wprost idealnie przez wspomnianego artystę. Jego też artystyczna kreacja i wysokie walory literackie sztuki wywaleczyły „Don Juanowi“ piękny sukces.

Olbrzymie wrażenie wywarło „Wesele“ Wyspiańskiego na publiczności warszawskiej, znajdującej się w czasie obecnej wojny między Scyllą i Charybdą poglądów politycznych. Hypnotyczny taniec na końcu sztuki w takt słów Chochoła, to do pewnego stopnia odpowiednik nastroju Warszawy, nastroju politycznego, zahypnotyzowanego i czekającego na dźwięk rogu, dźwięk mocny, wyzwalający. — —

Przez scenę Teatru Polskiego przesunął się cały szereg sztuk mniejszej lub większej wartości literackiej, najbardziej zaś interesującym wypadkiem dnia było wystawienie „Chmur“ Arystofanesa w tłumaczeniu p. Edmunda Cięglewicza, o którym można śmiało powiedzieć, iż dzięki wysoce literackim jego przekładom, wykonanym świetną polszczyzną, stał się Arystofanes potrzebą żywotną scen polskich, wartością niemal nową, konieczną w repertuarze każdej szanującej się sceny polskiej.

Wśród utworów, osnutych na tematach wojennych, oddających nastroj i zgrozę chwili, wyróżniły się w ciągu sezonu warszawskiego utwory Józefa Maciejewskiego prostotą układu, treści i środków teatralnych jak również uczuciowością.

Najwymowniej świadczy o żywotności scen warszawskich, że po zdobyciu stolicy zaraz podjęły w dalszym ciągu swoją działalność.

